

ZBIGNIEW DROZDOWICZ*

Mierzenie wartości osiągnięć naukowych

Nie spotkałem się wprawdzie z zestawieniem najczęściej podejmowanych i dyskutowanych obecnie w środowisku akademickim problemów, jednak skłonny jestem zaryzykować twierdzenie, że czołowe miejsce na tej liście zajmuje kwestia takiego mierzenia wartości osiągnięć naukowych, aby było to w miarę obiektywne i przekonujące. Wypowiadałem się zresztą również na ten temat¹. Jeśli podejmuję ten problem po raz kolejny, to jest to spowodowane m.in. pojawieniem się takiej miary, jaką jest dziedziczenie prestiżu recenzowanych monografii naukowych po wydawnictwach uznanych przez MNiSW oraz zespół jego bibliometrów za prestiżowe. Zapewne lista tych wydawnictw spotkała się z uznaniem nie tylko tych wydawców, którzy się na niej znaleźli, ale także przynajmniej niektórych spośród tych autorów, którzy już w nich coś opublikowali. U wielu innych wywołała ona jednak albo zdziwienie, albo oburzenie, albo też zdecydowany sprzeciw. Wyrażało się to m.in. w takich stwierdzeniach, jak: *legislacyjny bubel, dziwne pozycje, arcyzabawne wydawnictwa, wydawnictwa garażowe, masowa produkcja makulatury czy merytoryczna dyskusja z zawartością tej listy nie ma sensu*². Pod niejednym z tych twierdzeń skłonny byłbym się podpisać. Jeśli miałbym coś do nich dodać, to powiedziałbym, że jest to wielka porażka zarówno tych, którzy zlecili przygotowanie takiej listy, jak i tych, którzy podjęli się wykonania tego zadania. Nie podzielam jednak przekonania, że nie warto z nimi dyskutować. Te rozważania traktuję jako głos w tej dyskusji. Nie da się uniknąć przywołania w nich nazwisk. Problem jest jednak nie tyle w osobach, co w myśleniu, że osiągnięcia naukowe da się niemal z matematyczną dokładnością pomierzyć i podać takie wskaźniki, które będą oddawały ich faktyczną wartość. Jednym z tych kontrowersyjnych wskaźników jest tzw. wskaźnik wpływu (ang. *Impact Factor*).

* Prof. dr hab. Zbigniew Drozdowicz (drozd@amu.edu.pl), Katedra Religioznawstwa i Badań Porównawczych Uniwersytetu im. Adama Mickiewicza

¹ Ostatnio w zamieszczonym na łamach nr 3/2019 „Forum Akademickie” pt. *Waga wydawnictwa*.

² Jan Woleński w swojej krytycznej ocenie tej ministerialnej listy wydawnictw stwierdza, że „jest ona pośmiewiskiem w środowisku. Wprawdzie śmiech to zdrowie, ale prawdziwy problem polega na konsekwencjach, np. w postaci urawniłowki oceny publikacji, spodziewanej antymotywacji do publikacji w niektórych renomowanych wydawnictwach i lekceważenia wysiłku naukowców”. Por. J. Woleński, *Kolejny bubel w reformowaniu nauki*, „PAU-za”, 2019, luty, nr 457, s. 3.

Tradycje wskaźnika wpływu

Wyjdę od przypomnienia tradycji tego sposobu mierzenia wartości osiągnięć naukowych nie tylko dlatego, że jestem przewiązany do tradycji w nauce, ale także dlatego, że również w przeszłości odgrywał on istotną rolę w życiu naukowym. Skłonny jestem nawet zaryzykować twierdzenie, że jego obecna wersja stanowi taką jego modyfikację, która polega na znacznym uproszczeniu tego, co pojawiło się i stosunkowo nieźle funkcjonowało przez wieki w nauce. W przeszłości jednak na uzyskanie znaczącego wpływu w nauce nie tylko trzeba było czekać znacznie dłużej, ale także potrzeba było znacznie większej liczby takich osób, które mogły się do tego przyczynić. Związane to było nie tylko z niedoskonałością takich środków przekazu jak słowo mówione czy pisane, ale także ze znacznie mniejszą liczbą takich osób, które chciały i potrafiły jakieś naukowe osiągnięcie docenić i upowszechnić.

Dobrą ilustracją tego zdają się być osiągnięcia starożytnego filozofa i matematyka Pitagorasa (ur. ok. 572 r. p.n.e.). Jakkolwiek on sam niczego nie napisał (i być może pisać nie potrafił), to do dzisiaj ma on znaczącą pozycję nie tylko w podręcznikach do nauki matematyki, ale także w różnego rodzaju monografiach naukowych na temat początków tej dyscypliny. Zawdzięcza to nie tylko tej legendzie, która towarzyszyła mu już za życia, ale także wielu tym biografom, którzy później ją podtrzymywali i upowszechniali; jednak z reguły coś dodając do niej od siebie. Trzeba przy tym wyraźnie powiedzieć, że to, co tej legendzie dodawali nie zawsze było na tyle poważne, aby ten filozof i matematyk niczego nie stracił na swojej dostojności. Przykładem może być Diogenes Laertios, autor napisanych ok. połowy III w.n.e. *Żywotów i poglądów słynnych filozofów*. W świetle tego przekazu Pitgoras zarówno miał znakomitych nauczycieli, jak i sam stał się tak znakomitym nauczycielem, że skupiło się wokół niego grono licznych uczniów. Przynajmniej niektóre jego zalecenia mogły jednak budzić, jeśli nie rozbawienie, to co najmniej zdziwienie. Tytułem przykładu przywołam tutaj jego zalecenie, aby „nie oddawać moczu, zwracając się ku słońcu”³. Niejedną taką ciekawostkę można znaleźć również na kartach napisanego pod koniec II w.n.e. przez Porfiriusza *Żywotu Pitagorasa*. Jego autor przedstawia Pitagorasa jako postać pod wieloma względami wyjątkową. To, że wyróżniał się swoimi zdolnościami intelektualnymi, wiemy już z przekazu Diogenesa Laertiosa. Natomiast z przekazu Porfiriusza można się dowiedzieć, że oznaczał się także takim wdziękiem i pięknym głosem, że słuchali go nie tylko starcy, ale także młodzieńcy i kobiety. Dla współczesnych wegetarian godne uznania może być to, że „miał niechęć do spożywania istot żywych” i „nie zbliżał się nawet do kucharzy i myśliwych”⁴. Wszystko to razem miało sprawić, że już za życia jego współcześni

³ Por. Diogenes Laertios, *Żywoty i poglądy słynnych filozofów*, PWN, Warszawa 1984, s. 477 i in.

⁴ Porfiriusz, *Żywot Pitagorasa*, Wydawnictwo Epsilon, Wrocław 1993.

zaliczyli go w poczet bogów. I z tym dzisiaj może już być pewien problem, bowiem od uczonego raczej nie oczekuje się, aby stał się Bogiem, ani nawet, aby zachowywał się tak, jakby potrafił zastąpić Pana Boga w osiąganiu prawdy, czy też w ocenianiu sukcesów na tej drodze innych uczonych. W stwierdzeniu tym jest trochę ironii. Nie jest ono jednak całkowicie oderwane od realiów akademickiego życia⁵.

Był to zresztą poważny problem również w okresie, w którym drogi religijnych wierzeń i poglądów naukowych dopiero zaczęły się rozchodzić. Pokazuje to m.in. głośna w swoim czasie sprawa włoskiego uczonego (profesora matematyki na Uniwersytecie w Padwie) Galileusza (wł. Galileo Galilei, 1564 – 1641). Jego proces przed trybunałem rzymskiej inkwizycji trwał kilkanaście lat i zakończył się potępieniem bronionej przez niego teorii Kopernika i upokorzeniem go; zmuszony on bowiem został do „zobowiązania się ze szczerego serca i niekłamanej wiary do wyrzeczenia się swoich błędów”, oraz złożenia przysięgi, że „w przyszłości nigdy już nie będzie ich głosił”⁶. Jest to – poza wszystkim innym – interesujący przyczynek do dyskusji nie tylko nad sposobem mierzenia wartości osiągnięć naukowych w ogóle, ale także takiego konkretnego osiągnięcia, jakim była teoria heliocentryczna, sformułowana przez Mikołaja Kopernika (1473–1543). Kto wie, jakie byłyby naukowe losy jego teorii oraz jego dzieła pt. *O obrotach sfer niebieskich (De revolutionibus orbium coelestium)*, w którym została ona wyłożona, gdyby nie pojawili się tacy uczeni jak Galileusz. Być może jeszcze długo musiałaby ona czekać, jeśli nawet nie na swojego kolejnego odkrywcę, to przynajmniej na prawo obywatelstwa w nauce. W każdym razie wiele wskazuje na to, że Kopernikowi nie zależało specjalnie na rozgłosie (potwierdzeniem tego jest fakt, że wyraził zgodę na opublikowanie swojego dzieła na rok przed śmiercią). Co więcej, nie miał on raczej charakteru wojownika w walce o postawienie nauki przed wiarą (do takiego wniosku skłania m.in. dedykowanie tego dzieła papieżowi Pawłowi III)⁷. W końcu XVI stulecia i w okresie późniejszym pojawili się jednak tacy wojownicy, jak Galileusz, a nawet bardziej odważni i radykalni harcownicy na tym konfrontacyjnym polu. Rzecz jasna, jest kwestią dyskusyjną, czy miarą oceny wartości osiągnięć naukowych powinna być kopernikańska rozważa, a nawet swoisty oportunizm w głoszeniu swoich poglądów, czy też ta odwaga i ten radykalizm, który cechował owych harcowników. Skłonny jestem podpisać się pod stanowiskiem, że w jakiejś mierze przydatne nauce może być zarówno to pierwsze, jak i to drugie. Wiele tutaj jednak zależy od tych okoliczności, które warunkują zarówno prowadzenie badań naukowych, jak i przedstawianie ich wyników. Nie sądzę przy tym, aby można było te uwarunkowania ująć w jakieś statystyczne wskaźniki.

⁵ Próbowałem to wykazać w artykule pt. *Zastąpić Pana Boga? W sprawie aspiracji i kwalifikacji tzw. ekspertów* („Nauka” 2015, nr 4, s. 31 i d.).

⁶ Por. J. Reston Jr., *Galileusz*, Wydawnictwo Prószyński i S-ka, Warszawa 1998.

⁷ Por. J. Sikorski, *Prywatne życie Mikołaja Kopernika*, Pracownia Wydawnicza Elset, Olsztyn 2011.

Dobłą ilustracją tego, jak bardzo życie naukowe przyspieszyło od czasu „sprawy Galileusza”, może być rozgłos, który zyskała teoria ewolucji Karola Darwina. Wyłożona została ona w opublikowanym w roku 1859 jego dziele pt. *O powstawaniu gatunków*. Michael White i John Gribbin, opisując okoliczności jego napisania i opublikowania, przypominają, że K. Darwin pasjonował się nie tyle ewolucją gatunków, co badaniem życia i rozmnażania się pąkli⁸. Na temat ewolucji miał jednak swój pogląd, a nawet ogólniejszą teorię i „w kwietniu 1856 roku zwierzył się z niej najpierw swojemu mistrzowi Charlesowi Lyellowi”, a później Williamowi Hookerowi, Thomasowi H. Huxleyowi i Veronowi Wollstanowi. Jednak nie spieszył się specjalnie z ich szerszym upublicznieniem, co miało zdumieć Leylla, który „napisał do Karola, nalegając bez ogródek na publikację”⁹. Dopiero informacja, że na łamach „Annals and Magazine of Natural History” ukazał się artykuł Alfreda R. Wallace’a, w którym przedstawione zostały dowody na istnienie ewolucji („nie zawierały one jednak teorii wyjaśniającej”) sprawiła, że Darwin przystąpił do napisania tej książki; jednak „do końca 1856 roku skończył zaledwie trzy rozdziały”, a „poważnie zabrał się do pracy” dopiero latem 1858 roku. Po naleganiach Johna Murray’a „książkę opublikowano w listopadzie 1859 roku pod skróconym tytułem *O powstawaniu gatunków*, a słowa *drogą doboru naturalnego* wydrukowano mniejszą czcionką, po czym następował dodatek typowy dla Darwina: czyli o *utrzymaniu się doskonalszych ras w walce o byt*. No i się zaczęło. Z jednej strony pojawiła się liczna grupa przeciwników tej teorii, natomiast z drugiej początkowo stosunkowo nieliczna, ale niejednokrotnie nieprzebierająca w słowach (tak jak to miało miejsce w przypadku Th.H. Huxley’a) grupa jej obrońców. Jedni i drudzy znajdowali w teorii Darwina głównie to, co stosunkowo najbardziej przemawiało do ich wyobraźni; a przemawiała do niej m.in. wizja pochodzenia człowieka od małpy. Dla ścisłości trzeba dodać, że taka teza w dziele *O pochodzeniu gatunków* wprawdzie się pojawia, jednak jest ona zapisana (jak to się dzisiaj mówi) tzw. drobnym drukiem – jeśli tak można nazwać pojawiającą się w podsumowaniu tego dzieła sugestią, że „wzniosły jest zaiste pogląd, że Stwórca natchnął życiem kilka form lub tylko jedną” i „z tego prostego początku zdołał się rozwinąć i wciąż się jeszcze rozwija nieskończony szereg form najpiękniejszych i najbardziej godnych podziwu”¹⁰. Nie łatwo jest jednak doszukać się

⁸ „Pąkle to zazwyczaj organizmy obupłciowe, posiadające dwa rodzaje narządów płciowych. Darwin odkrył jednak najpierw jeden, a potem kilka gatunków, u których występowały dwie odrębne płci, połączone w sposób niezwykle i zaskakujący”. Por. M. White, J. Gribbin, *Darwin. Żywot uczonego*, Wydawnictwo Prószyński i S-ka, Warszawa 1998, s. 173 i d.

⁹ „Jak większość współczesnych uczonych Leyell niepokoił się sprawą ustalenia pierwszeństwa: jeśli Darwin opublikuje choćby krótkie doniesienie, a jego teoria okaże się słuszna, będzie miał dowody, że pierwszy wpadł na ten pomysł” (tamże, s. 223).

¹⁰ Por. K. Darwin, *O powstawaniu gatunków*, Wydawnictwo Jirafa Roja, Warszawa 2006, s. 451.

w tym stwierdzenia, że człowiek pochodzi od małpy. Do wysokiego wskaźnika cytowań tego naukowego dzieła przyczynili się jednak nie tylko zwolennicy darwinowskiej teorii, ale także jej przeciwnicy, w szczególności ci, których oburzała taka wizja pochodzenia człowieka.

Ramowanie współczesnych bibliometrów

Nie zdziwiłbym się, gdyby któryś z tych bibliometrów uznał powyższe przywołania przykładów osiągnięć naukowych za jakieś historyczne ramotki, a w najlepszym razie za coś obarczonego taką poważną skazą językową, jaką jest brak odpowiedniej (czytaj: zapożyczonej z języka angielskiego) terminologii. Zatem, aby nieco zaspokoić ich językowe oczekiwania, użyłem w tytule tego punktu rozważań określenia *ramowanie* (z ang. *framing*)¹¹. Rzecz jasna, nie jest to jedyne określenie używane przez tych bibliometrów. Inne – pozostające jednak z ramowaniem w mniej lub bardziej bezpośrednich związkach – to: *transkrybowanie wypowiedzi*, *agenda setting* (tłumaczona jako *teoria ustalania porządku dziennego*) czy *analiza sieci semantycznych* (*semantic network analysis*). Podaje jedynie kilka takich określeń, które pojawiają się w przywoływanym w przypisie artykule. W innych publikacjach autorstwa osób posługujących się tym językiem można znaleźć takie określenia, jak: *impact factor*, *open acces*, *draft* czy *alternative metrics*. O osobach tych można ze sporym prawdopodobieństwem powiedzieć, że znają język angielski. Problem jednak w tym, że dzisiaj językiem angielskim potrafi się posługiwać tak liczne grono osób, że przestało to być oznaką uczoneści. Tyle w kwestii języka bibliometrów.

Taki „wypadek przy pracy”, jakim jest wspomniana na wstępie tych rozważań lista wydawnictw, skłania do wniosku, że problem jest nie tylko, a nawet nie tyle w terminologii, co w stosowaniu przez współczesnych bibliometrów sposobu mierzeniu wartości osiągnięć naukowych. Zasadnym jest, zatem postawienie pytania: czy bibliometria jest, czy też nie jest nauką, a jeśli nią nie jest to, czym ona jest, lub przynajmniej czym chciałaby być? W Wikipedii kwestia ta nie została rozstrzygnięta jednoznacznie, bowiem pod hasłem *bibliometria* najpierw stwierdza się, że jest to taka nauka, która „wywodzi się z badań naukometrycznych”, a następnie dodaje się, że „jest zbiorem metod matematycznych oraz statystycznych używanych do badania komunikacji piśmienniczej. Opiera się na analizie danych bibliograficznych publikacji, według poszczególnych cech: czasopisma, autora, hasła klasyfikacji tematycznej czy państwa”. Nieco bardziej jedno-

¹¹ Wyjaśniając znaczenie tego określenia, Aleksandra Rzyska pisze, że oznacza ono koncepcję, która „podkreśla rolę procesów nadawania znaczeń, selekcjonowania, kategoryzowania i uwypuklania określonych kwestii w publicznych przekazach”. Por. A. Rzyska, *Framing w badaniach szkolnictwa wyższego – przegląd międzynarodowych periodyków naukowych*, „Nauka i Szkolnictwo Wyższe”, 2018, nr 1(51), s. 118 i d.

znacznie zostaje ona określona na stronie internetowej Biblioteki UMK. Stwierdza się tam bowiem, że „bibliometria jest narzędziem, które pozwala ocenić stan nauki i technologii na podstawie całkowitej produkcji piśmiennictwa naukowego. Nazwę bibliometria zaproponował Pritchard w 1969 roku, jednak współczesna bibliometria jest związana przede wszystkim z nazwiskiem Eugene’a Garfielda, który w 1955 roku zaproponował stworzenie indeksu cytowań naukowych (*Citation indexes for science*)”. Dalej jednak mówi się już nie o bibliometrii, lecz naukometrii i takim jej „ważnym zagadnieniu jak analiza cytowań”.

Odwołam się również do wypowiedzi w tej kwestii Emanuela Kulczyckiego, osoby, która sama siebie nazywa „fanem naukometrii i bibliometrii” oraz prowadzi bloga (to również jeden z terminów przydatnych do ramowania bibliometrów) pod nazwą *Warsztatu badacza*. Pojawiła się ona w 2015 roku w związku z zamieszczeniem w „Dzienniku. Gazecie Prawnej” krytycznej wypowiedzi Rafała Drzewieckiego, zatytułowanej: *Wskaźnik absurdu* (chodziło w niej o wskaźniki stosowane przez bibliometrów). E. Kulczycki twierdzi, że „bardzo często niesłusznie mówi się, że wskaźniki bibliometryczne są nieużyteczne i nic nam nie mówią o nauce. Nic bardziej mylnego! Mówią nam bardzo dużo, ale najczęściej problemem z wykorzystaniem analiz bibliometrycznych w Polsce jest błędne stosowanie i niezrozumienie do czego bibliometria może się przydać. Bibliometria jest użyteczna – i to bardzo. Ale do tego, aby pokazać nam, jak wygląda aktywność publikacyjna i widoczność pewnych prac. Jeśli chcemy ocenić jakość pracy naukowej oraz dorobek konkretnego badacza na podstawie tylko wskaźników bibliometrycznych, to równie dobrze moglibyśmy przenosić wodę w wiklinowym koszu. Ocena jakości naukowej można uzyskać jedynie poprzez system ekspercki – w uproszczeniu recenzje naukowe”. Z pierwszą częścią tego stwierdzenia skłonny byłbym się zgodzić. Natomiast do drugiej, tj. systemu eksperckiego (przynajmniej w takim wydaniu, jaki występuje w Polsce) miałbym już zasadnicze zastrzeżenia. Argumentów dostarcza mi w tej kwestii również E. Kulczycki, który – co przecież nie jest żadną tajemnicą – był przewodniczącym ministerialnego zespołu ekspertów przy sporządzaniu krytykowanej dosyć powszechnie listy wydawnictw. Jeśli jednak było to jedynie poddanie się takiej ministerialnej presji, której trudno było nie ulec, to od uczonego można oczekiwać, że nie będzie podejmował się zadań, które z różnych względów nie mogą być dobrze wykonane, a w sytuacji, gdy ma się świadomość, że mogą one przynieść więcej szkody niż pożytku powinien się zdobyć na odmowę wykonania takiego zadania.

Punktoza i ekspertoza

Gdyby jednak był to jedynie problem chwilowej słabości bibliometrów, czy też ulegania przez nich ministerialnym oczekiwaniom, to można byłoby z tym jakoś żyć, a w każdym razie nie byłoby powodu, aby mówić, że przyjęty przez nich sposób mie-

rzenia wartości naukowych nie ma wiele wspólnego z nauką. Znacznie poważniejszym i groźniejszym zjawiskiem, bowiem przybierającym dzisiaj charakter swoistej epidemii, jest przeliczanie wszystkiego tego, co posiada jakieś znamiona naukowości, na punkty. Zjawisko to zostało już kilka lat temu zdiagnozowane przez polskich uczonych pełniących ważne funkcje w instytucjach zajmujących się m.in. oceną osiągnięć naukowych i nazwane *punktozą*. Określenie to zrobiło sporą karierę, a samo zjawisko zyskało zarówno swoich zwolenników, jak i przeciwników. Przywołam zatem jego objaśnienie. Zdaniem autorów tej diagnozy: „punktoza to relatywnie nowa jednostka chorobowa. Osoby nią owładnięte gotowe są sprowadzać ocenę osiągnięć naukowych niemal wyłącznie do tak czy inaczej rozumianej liczby zdobytych punktów”. Dodają oni przy tym, że jednak „dużo starszą i szerzej rozpowszechnioną jednostką chorobową jest ekspertoza. Nosiciele ekspertozy żyją w głębokim przekonaniu, że tylko eksperci są w stanie ocenić wyniki naukowe, oczywiście pod warunkiem, iż nosiciel tej choroby lub ewentualnie jego koleżanka/kolega uznany zostanie za eksperta w danej dziedzinie”¹². Wskazanie na drugą z tych jednostek chorobowych jest ważne m.in. z tego względu, że można być nosicielem pierwszej z nich i nie zdawać sobie sprawy, że jest się nosicielem drugiej, a nawet przedstawiać ją jako przejaw zdrowia¹³. Rzecz jasna, wiele zależy nie tylko od tego, jakich ekspertów się powołuje, jakie przyznaje się im uprawnienia i ograniczenia oraz w jaki sposób rozlicza się ich z wykonanego zadania; nie chodzi przy tym wyłącznie o ich rozliczanie finansowe (jednak i ono nie jest bez znaczenia). Mam w tym zakresie swoje doświadczenia. Nie będę ich jednak upubliczniał. Powiem jednak krótko: nie skłaniają one mnie do ponownego podejmowania się obowiązków eksperta. Powrócę jednak do problemu punktozy, bowiem tą jednostką chorobową dotknięta jest znacznie liczniejsza grupa osób, a ci, którzy okazali się (dopóki co) na nią dosyć odporni, zmuszeni są znosić zachowania tych pierwszych; takie chociażby, jakie mają miejsce przy demonstrowaniu przez nich z dumą swojego wysokiego wskaźnika Hirscha i dawaniu do zrozumienia, że ci, którzy ten wskaźnik mają stosunkowo niski, w gruncie rzeczy nie są prawdziwymi uczonymi. Rzecz jasna, nie twierdzę, że wskaźnik ten niczego nie mówi. Przeciwnie, twierdzę, że mówi on nawet sporo, i to nie tylko o aktywności publikacyjnej uczonych czy widoczności ich publikacji – tyle tylko, że przede wszystkim przedstawicieli nauk ścisłych i przyrodniczych oraz tych publikacjach, które ukazały się w języku

¹² Por. M. Zabel, E. Rafałowicz, E. Dahling-Turek, W. Hanke, B. Mach, P. Brzeziński, *Punktoza, czyli wskaźniki bibliometryczne stosowane przez KEJN w ocenie parametrycznej jednostek naukowych*, „Forum Akademickie”, 2014, nr 9, s. 32 i d.

¹³ Przykładem tego może być również E. Kulczycki. Z zamieszczonej na jego blogu autoprezentacji można się dowiedzieć m.in., że „obecnie kieruje on projektem *Punktoza w czasach systemów ewaluacji nauki*”. Przypomnę, że z wcześniej przywołanej jego wypowiedzi wynika, że „kołem ratunkowym” przed pogrążeniem się w niej ma być „system ekspercki”.

angielskim w czasopismach znajdujących się w odpowiedniej bazach bibliometryczno-abstraktowych (takich np. jak Web of Science czy Scopus). Co więcej, mówi on również sporo o umiejętności zabiegania przez uczonych o wysoki wskaźnik Hirscha. Niestety, nie w każdym przypadku związane to jest ze znaczącymi osiągnięciami naukowymi. Na ten temat zresztą również już sporo powiedziano.

Przywołam tutaj tylko jedną z takich wypowiedzi. Zamieszczona została ona w opublikowanym na łamach tygodnika „Polityka” w artykule Leszka Pacholskiego pt. *Kariery lawirowane*. Przywoływana jest ona na łamach „Forum Akademickiego” w artykule pod równie wymownym tytułem: *Mitologia bibliometryczna*. Jego autorzy piszą, że „wśród oszustw opisanych przez prof. Pacholskiego rzeczywiście najłatwiejsze polega na sztucznym powiększaniu indywidualnego indeksu Hirscha i współczynnika wpływu (IF) czasopisma przez jego redaktora naczelnego. Możliwe jest to jednak tylko dla czasopism publikujących co najwyżej kilkaset artykułów rocznie i pod warunkiem skorumpowania redaktorów regionalnych. (...) Trudniej oszukiwać w czasopismach, które publikują kilka tysięcy artykułów rocznie (np. „Physical Review” – 6 tys. artykułów rocznie), w których redaktorzy są nominowani przez towarzystwa naukowe”¹⁴.

Przy sztucznym powiększaniu wskaźnika indeksu Hirscha problem polega nie tylko na tym, że uczeni walczą o powiększenie swojego dorobku publikacyjnego (traktując dosłownie zasadę: *publish or perish – publikuj albo gin*), ale także w tym, że niejednokrotnie stosują zasadę: „ty cytujesz mnie, a ja cytuję ciebie” lub też: „ja dopisuję Ciebie do mojego artykułu, a ty dopisujesz mnie do swojego (takie praktyki mają szerokie pole do popisu zwłaszcza w tych dziedzinach i dyscyplinach naukowych, w których powszechne są publikacje wieloautorskie). Natomiast przy sztucznym powiększaniu współczynnika wpływu (IF) czasopisma problem polega m.in. na tym, że z czasopismami renomowanymi i przestrzegającymi wysokich standardów naukowych i etycznych (takich jednak jest stosunkowo niewiele) konkurują (niejednokrotnie do upadłego) tzw. czasopisma drapieżne, niemające specjalnych skrupułów, aby sięgać po środki i sposoby zapożyczone ze sportów walki lub tzw. dzikiego kapitalizmu (takich na tzw. rynku wydawniczym jest niestety wiele). Na występowanie tego rodzaju czasopism zwraca zresztą uwagę również E. Kulczycki¹⁵.

¹⁴ „Opisane oszustwa mogą zwiększyć sławę danego naukowca, ale tylko czasowo i na ogół w skali lokalnej. Zresztą na ogół kończy się ono źle dla oszukujących, co widać nie tylko w przypadku Al. Naschiego (pracownika Uniwersytetu Aleksandryjskiego w Egipcie), którego zmuszono do rezygnacji z pracy naukowej (po tym jak wykryto, że potrafił sztucznie wykreować wskaźnik przywołań artykułów opublikowanych na łamach jego czasopisma)”. Por. M. Kosmulski, A. Proń, *Mitologia bibliometryczna*, „Forum Akademickie”, 2014, nr 11, s. 42 i d.

¹⁵ „Czasopisma nazywane «drapieżnymi» są ukierunkowane na szybki zysk, który generują opłaty ponoszone przez naukowców, a nie na upowszechnianie dobrych i zweryfikowanych efektów nauki. Wykorzystują jeden z modeli publikowania w otwartym dostępie (ang. *open acces*), który

Światowego rozgłosu nabrała prowokacja z 1996 roku Alana Sokala, który „zdu-
miony i przygnębiony intelektualnymi trendami występującymi w niektórych amerykańskich środowiskach uniwersyteckich (...), postanowił przeprowadzić nieortodoksyjny (...)
eksperyment: wysłać do druku w modnym amerykańskim piśmie *Social Text* poświęconym badaniom kulturowym, parodię tekstów, jakich wiele ukazało się w ostatnich latach, aby sprawdzić, czy redakcja ją opublikuje”¹⁶. I co?; a no to, że „artykuł został przyjęty i opublikowany. Gorzej, znalazł się w specjalnym numerze *Social Text* poświęconym odpowiedzi na krytykę postmodernizmu i społecznego konstruktywizmu, z jaką wystąpiło kilku wybitnych uczonych”.

Na drugim planie tych i podobnych im problemów znajduje się kwestia ekspertozy. Nie jest ona jednak mocno eksponowana ani przez autorów przywoływanego tutaj artykułu pt. *Punktoza*, ani też przez E. Kulczyckiego. Przynajmniej dla mnie jest to w jakiejś mierze zrozumiałe, bowiem każda z tych osób albo pełniła, albo też pełni nadal funkcję eksperta w którejś z ważnych dla środowiska akademickiego instytucji i może się obawiać zarzutu, że „kała własne gniazdo”. Jednak zrozumiałe nie znaczy usprawiedliwione, bowiem takie właśnie osoby powinny dobrze się orientować, jak wygląda w praktyce ta ekspertoza. Jej negatywne przykłady przywoływane są zresztą dosyć często na łamach środowiskowych czasopism – takich m.in. jak „Forum Akademickie” czy „PAU-za”. Na łamach tego pierwszego wypowiadałem się zresztą również na ten temat stosunkowo niedawno. Nazwałem wówczas przywołane przeze mnie negatywne przykłady ekspertoz akademickim kanibalizmem i podtrzymuję to określenie¹⁷. Nie chciałbym tutaj jednak powtarzać tych racji, które skłoniły mnie do jego użycia. Dodam, że mam wrażenie, iż ekspertoza nie tylko nadal trzyma się mocno, ale także rozkwita i cieszy się dosyć szerokim uznaniem (mimo że „pachnie” nieszczególnie miło). Tytu-

przenosi koszty procesu wydawniczego z wydawcy na autora. Jednakże publikacje wydawane przez drapieżne czasopisma najczęściej nie przechodzą oczekiwanego procesu wydawniczego, w tym recenzji naukowych (...)”. W artykule tym opisana została m.in. sprawa „kariery nieistniejącego naukowca, doktora habilitowanego Anny O. Szust, która miała zabiegać o posadę redaktora czasopisma naukowego. W tym celu wysłaliśmy mailowo CV oraz list motywacyjny do losowo wybranych czasopism z zakresu nauk humanistycznych i społecznych. (...) Okazało się, że żadne z czasopism z Impact Factorem nie przyjęło do swojej redakcji Anny O. Szust. Jednakże osiem czasopism z bazy DOAJ i 40 z listy Bealla zaakceptowało jej kandydaturę (często zaledwie po kilku godzinach od wysłania maila!)”. Por. E. Kulczycki, *Kariera drapieżnych czasopism – przypadek Anny O Szust*, Nauka, 2017, nr 3, s. 71 i d.

¹⁶ „Artykuł, zatytułowany «Transgresja granic: ku transformatywnej hermeneutyce kwantowej grawitacji», pełen jest absurdów i wniosków niewynikających z przesłanek. Oprócz tego głosi skrajną wersję poznawczego relatywizmu (...)”. Por. A. Sokal, J. Bricmont, *Modne bzdury. O nadużywaniu pojęć z zakresu nauk ścisłych przez postmodernistycznych intelektualistów*, Prószyński i S-ka, Warszawa 2005, s. 15 i d.

¹⁷ Por. Z. Drozdowicz, *Akademicki kanibalizm*, „Forum Akademickie”, 2017, nr 7–8, s. 52 i n.

łem wypowiedzenia krótka autorefleksja. Jeszcze nie tak dawno z pewnym niedowierzaniem przyjmowałem informację mojego kolegi profesora (doświadczonego w bojach o granty badawcze i odnoszącego na tym polu spore sukcesy), że w jednej edycji konkursu grantowego jego wniosek nie znalazł wystarczającego uznania zespołu ekspertów i został odrzucony, natomiast w następnej edycji tego samego konkursu, ale przy innym zespole ekspertów, znalazł się na pierwszym miejscu grantowego rankingu. Dzisiaj nie tylko przyjmuje to z większym zrozumieniem, ale także mam przekonanie (graniczące z pewnością), że nie jest wielką sztuką przygotowanie dobrego wniosku grantowego i poparcie go uwiarygadniającymi jego prawidłową realizację osiągnięciami naukowymi. Jest nią natomiast trafienie na takich ekspertów, którzy potrafią to docenić i właściwie ocenić. Jeśli się myślę, to może ktoś odpowie na pytanie: dlaczego doświadczeni uczeni tak rzadko składają wnioski grantowe? Tym, którzy od mnie oczekiwaliby na nie odpowiedzi, powiem krótko: bo są doświadczeni i zorientowani, jak w praktyce wygląda praca ekspertów.

Kilka ogólniejszych uwag i zwyczajnych marzeń

W sytuacji, gdy tak często pojawiają się wypowiedzi na temat niedoskonałości lub wręcz szkodliwości stosowanego w naszym środowisku akademickim wskaźnika wpływu (IF), dosyć trudno byłoby powiedzieć w tej kwestii coś całkowicie odkrywczego. Rzecz jasna, można użyć bardziej dosadnych określeń niż autorzy przywoływanych tutaj krytycznych wypowiedzi na ten temat. Takich określeń używają z reguły ci, którzy albo zostali osobiście dotknięci skutkami punktozy i ekspertozy, albo też uznali, że ich wieloletni wysiłek intelektualny został ośmieszony, i to przez tych, którzy są wprawdzie specjalistami od gromadzenia punktów za publikacje, a niektórzy z nich również zajmowania miejsc w różnego rodzaju zespołach ekspertów – jednak, czy jest to tak wielką sztuką, aby warto było ich naśladować. Można oczywiście podchodzić do tego filozoficznie (czytaj: z dystansem), a nawet formułować jakieś życiowe zalecenia – w rodzaju: nie dajmy się zwariować. Łatwiej to jednak powiedzieć, niż zrobić. Trudno o to może być zwłaszcza tym, którzy znajdują się na stosunkowo wczesnym etapie swojej naukowej kariery i po to, aby przejść jej kolejne szczeble, muszą się wykazać na każdym z nich m.in. publikacjami w wysoko punktowanych czasopismach. Niełatwo o to zresztą może być również tym, którzy już przeszli najistotniejsze szczeble tej kariery i stoczyli po drodze niejedną zwycięską batalię z różnego rodzaju bibliometrami oraz z niejedną „modną bzdurą” czy „wskaźnikiem absurdu”. Są oni bowiem regularnie oceniani, i to nie tylko przez przyjazne im otoczenie. Co gorsza, ci, którzy wystawiają im te oceny, niejednokrotnie zmuszeni są przeliczać ich osiągnięcia na punkty – nie tylko dlatego, że jest to stosunkowo najprostsze mierzenie, ale także dlatego, że to jest wymuszane ministerialnymi rozporządzeniami i uczelnianymi ankietami ocen pracowniczych.

Nie oznacza to oczywiście, że nic z tym nie można zrobić, a przynajmniej, że nie można czegoś w tej kwestii zasugerować. Nie mam niestety pomysłu na to, jak generalnie rozwiązać problem punktozy i ekspertozy. Nie uważam jednak, że wszystkie związane z nimi regulacje powinno się wyrzucić do śmietnika, a tych, którzy je wymyślają i wprowadzają w życie, zachęcić do tego, aby zajęli się czymś bardziej pożytecznym dla nauki. Wychodzę natomiast z raczej oczywistego założenia (przynajmniej dla mnie), że zarówno w osiąganiu znaczących wyników naukowych, jak i w mierzeniu ich wartości najwięcej zależy od konkretnych ludzi, i to począwszy od tych, którzy znajdują się na najwyższych szczeblach decyzyjnych w zakresie funkcjonowania uczonych i nauki, a skończywszy na tych, którzy znajdują się dopiero na początku drogi naukowej. Nie chciałbym oczywiście uchodzić za kogoś, kto wie najlepiej, czego potrzeba polskim uczonym i uprawianym w naszym kraju naukom i potrafi każdej z tych osób coś sensownego doradzić. Takich ekspertów od wszystkiego wprawdzie u nas nie brakuje (łatwo się o tym przekonać, słuchając chociażby wypowiedzi medialnych ekspertów), jednak na tym właśnie polega ekspertoza. Zatem, aby uniknąć wpadnięcia w jej sidła, powiem, że w podsumowaniu swoich rozważań chciałbym jedynie nieco pomarzyć.

Jeśli chodzi o ministerialnych decydentów i ich współpracowników, to marzyłoby mi się, aby w najistotniejszych dla życia akademickiego sprawach kierowali się nie tyle racjami politycznymi, co rzeczywistymi potrzebami i możliwościami polskich uczonych i nauki w Polsce. Jakie to są potrzeby i możliwości, stosunkowo najlepiej wiedzą uczeni. Nie można oczywiście powiedzieć, że ministerialni decydenci w ogóle ich nie słuchają. Problem jednak w tym, że głosy uczonych są dosyć mocno zróżnicowane. Jest to zresztą rzeczą normalną, bowiem różna jest sytuacja różnych dziedzin i dyscyplin naukowych oraz tych instytucji, w których są one uprawiane. To zróżnicowanie sprawia jednak, że rola tych, którzy dokonują wyborów i podejmują zasadnicze decyzje, przypada ministerialnym urzędnikom. W związku z tym marzy mi się, aby w swoich wyborach i decyzjach nie kierowali się w tak znacznym stopniu tym, co funkcjonuje w krajach zachodnich. To bowiem, co się sprawdza w jednym miejscu, z różnych względów może się nie sprawdzić i niejednokrotnie nie sprawdza w innym. Co więcej, to, co do pewnego czasu stosunkowo dobrze funkcjonowało w tamtych krajach, przestało spełniać swoje zadania po pojawieniu się nowych potrzeb i nowych sposobów ich zaspokajania. Przykładem mogą być chociażby wydawnictwa publikujące monografie naukowe¹⁸. W świetle tych

¹⁸ John B. Thomson w swojej książce zawierającej gruntowną analizę sytuacji wydawnictw brytyjskich i amerykańskich publikujących takie monografie stwierdza, że „w ostatnich kilkudziesięciu latach mamy do czynienia z upadkiem monografii naukowych (...), zmiany dotknęły w ostatniej dekadzie lub dwóch również tych wydawnictw (z wyjątkiem dwóch lub trzech), które sytuowały się wysoko na liście”. W odpowiedzi na pytanie o przyczyny tego upadku wskazuje on m.in. na takie zjawiska, jak: rewolucja cyfrowa, pojawienie się wirtualnych bibliotek oraz pojawienie się na rynku wydawniczym takich globalnych graczy, którzy narzucają nowy model przekazywania

głębokich zmian na rynku wydawniczym, które mają miejsce w przodujących naukowo krajach zachodnich, ministerialny pomysł na dziedziczenie prestiżu publikacji po wydawnictwie wydaje się być mocno spóźniony. Nawet nie ośmielę się sugerować ministerialnym decydom, co powinni zrobić w tej konkretnej kwestii. Powiem jednak, że generalnie nie powinni podejmować takich działań, które wyglądają tak, jakby starali się dogonić pociąg, który odjechał już jakiś czas temu. Dodam przy tym, że nie wystarczy do tego ani regularna wymiana doświadczeń między nimi oraz ich odpowiednikami w krajach zachodnich, ani nawet otaczanie się tymi ekspertami, których sobie cenią i którzy są do ich dyspozycji.

Owi eksperci to kolejne moje marzenia. Spokojnie, nie marzy mi się to, aby raz na zawsze podziękować im za dotychczasową pracę, ani nawet, aby dokonywać tak często ich rotacji, że jedyną rzeczą pewną będzie to, że jutro czy pojutrze już nie będą ekspertami. Ich rotacyjność ma zresztą miejsce w konkursach grantowych ogłaszanych przez MNiSW, NCN oraz NCBR. I co? I niestety niewiele się zmienia na lepsze w rozstrzygnięciach grantowych. Można jednak sobie wymarzyć taką sytuację, że ci eksperci, którzy nieszczególnie się popisali w jednej procedurze, nie będą mieli możliwości uczestniczenia w kolejnej. Pojawia się jednak zasadnicze pytanie (stawiane zresztą niejednokrotnie w dyskusjach nad jakością pracy ekspertów): kto ma oceniać ich pracę? Najprostsza z nasuwających się odpowiedzi jest taka, że ... eksperci? A ich pracę kto ma oceniać? Obawiam się, że wpadamy w jakieś błędne koło. Nie zamierzam iść w tym kierunku. Mogę jednak sobie wyobrazić taką sytuację, w której ekspertom nie będą zlecane do wykonania takie zadania, które być może nawet w teorii wyglądały sensownie, ale w praktyce okazały się albo zbyt trudne, albo nawet niemożliwe do prawidłowego wykonania. Marzy mi się także to, aby ci, którym przypadła rola ekspertów, nie czuli się niczym załoga na takim statku, który dryfuje w niebezpiecznym kierunku, a jego kapitan ma wprawdzie pomysł na jego wyprowadzenie z tego zagrożenia – jednak jest on dosyć ryzykowny, a kapitan ten nie posiada takiego doświadczenia w kierowaniu swoją jednostką, aby można być całkowicie spokojnym o jej przyszłość. I już całkiem na koniec: marzy mi się, aby owi eksperci w swoim myśleniu i działaniu kierowali się w większym stopniu opinią tych, którzy już przeżyli niejedną środowiskową „burzę” i doświadczyli skutków niejednego reformatorskiego pomysłu i nie ulegali zbyt łatwo ani chwilowym modom, ani też swoim sympatiom i antypatiom. Czy to jest w ogóle możliwe? Niestety nie wiem.

Jeszcze jedna ogólniejsza i nieco bardziej osobista uwaga. Od wielu lat dyskutuje się o opracowaniu polskiego wskaźnika wpływu i niestety niewiele z tych dyskusji wyni-

wiedzy. Por. J.B. Thomson, *Books in the Digital Age. The Transformation of Academic and Higher Education Publishing in Britain and the United States*, Polity Press, Cambridge 2005, p. 93 i d.

ka; na pewno nie to, że ktoś na serio zabrał się za jego opracowanie. Rzecz jasna, łatwiej jest kopiować to, co wymyślono w krajach zachodnich; a że nie przystaje to zbyt do naszych realiów, to tym gorzej dla tych realiów (tak zdają się myśleć przynajmniej niektórzy nasi bibliometry). Powiem zatem otwarcie: marzy mi się, aby w końcu – po wielu latach zajmowania się przez mnie nauką, nauczaniem i akademickim administrowaniem – przestano mnie punktować w taki sposób, jak to obecnie ma miejsce. Nie oznacza to jednak, że chciałbym mieć zarówno tzw. święty spokój, jak i jakieś poważanie w środowisku akademickim. Oznacza to natomiast, że chciałbym swoją aktywność zawodową wyrażać również w takich formach, które nie podpadają wprawdzie pod żadną punktację, jednak dają nie tylko mnie pewną satysfakcję, ale także mogą być przydatne (mam taką nadzieję) akademickiemu środowisku (myślę tutaj m.in. o swojej aktywności publicystycznej).

Measuring the value of scientific achievements

In these considerations, I undertake a polemic with thinking based on the assumption that the value of scientific achievements can be measured with almost mathematical accuracy and give fully reliable point indicators for them. It is not only part of those who introduce the current reform of higher education and science in Poland, but also experts who support them, as well as some representatives of science and natural sciences. This thinking was called point syndrome and expert syndrome. Although it was diagnosed as a manifestation of academic disease a few years ago, it still not only finds its supporters, but also translates into activities, which in some scholars cause astonishment, in others indignation, and still strong opposition in others.

Key words: bibliometrics, expert syndrome, point syndrome, impact factors

